

WAGON 13

Zanim wszystko się to zaczęło, byłem szarym Urzędnikiem Kolejowym w stolicy Okręgu Zachodniego. Ubrany w starannie wyprany i wyprasowany mundur kolejowy, co rano dorozką podjeżdżałem w miejsce swojej pracy. Budynek Dyrekcji w którym mnie zatrudniono mieścił się zaraz za Dworcem Głównym. Otaczały go brudne zasieki węglowe, wśród których przebijały się pogięte szyny torów dojazdowych. Na tych szynach, od rana, stały maszyny Towarzystwa Górnośląskiego. Olbrzymie parochody pluły w powietrze szarym gęstym dymem i chłoneły zgromadzony węgiel. Czarni od sadzy palacze czyścili kotły, wylewając gęstą maź wprost na ziemię. Ściekała ona szerokimi zakosami na bity trakt. Czasami było jej tak wiele, że woźnica spinał konie i z największą ostrożnością przejeżdżał przez nie, by nie ochlapać tych co w środku. Zanim wysiadłem opłaciłem swój kurs kilkoma fenigami. Zawsze, co jakieś czas dokładałem jednego, przez co zawsze mogłem liczyć na przychyłność i punktualność. Tak było i tym razem. Poczekawszy, aż powozowy otworzy drzwi przytroczyłem do lewej dłoni skórzana teczkę z herbem Jaśnie Nam Panującej Dyrekcji i wyszedłem na zewnątrz. Szerokimi kamiennymi schodami udałem się do wejścia. Było ono umiejscowione w centralnym ryzalicie zwieńczonym trójkątnym dachem. W centrum owego zadaszania powtórzono insygnia z mej teczki. Ich ogrom budził respekt i dodawał otuchy oraz dumy tutaj pracującym. Strażnik w szarym mundurze starannie sprawdził moje dokumenta i wydał ciężki masywny klucz ze złotym brelokiem, na którym wytłoczono numer pomieszczenia. Dział Archiwizacji mieścił się na pierwszym piętrze w sali 206. Dotarłszy tam po bocznych schodach zwijających się jak niedogotowany makaron, wsunąłem klucz w czeluść zamka i przekręciłem. Rozległ się dźwięk opadania ciężkiej zasuwki i gabinet mój stanął przede mną otworem.

Był to mała izba z dużym biurkiem. Na biurku sterczało kubło z ołówkami technicznymi różnych rodzajai. Ich dobór był uzależniony od dokumentów. Zdjąwszy płaszcz powiesiłem go na wieszaku w rogu. Zająłem swoje miejsce i dzień rozpocząłem od przeglądu dyspozycji. Na środku czystego blatu leżała tylko jedna – od samego Jaśnie Pana Dyrektora. Poznałem po starannym piśmie. Delikatnie przysunąłem pismo ku sobie i rozpocząłem czytanie. Nie było długie, jednak niezwykle ważne. Dotyczyło wagonów zniszczonych i poległych w straszliwych katastrofach jakie trapiły naszą Dyrekcję od roku. Jaśnie Pan Dyrektor chciał dokładny spis strat i numerów. Nie mógł lepiej trafić ze swoim nakazem. Od roku katalogowałem wagony będące na stanie naszej Dyrekcji. Starannie wpisywałem ich obiegi i stan do ksiąg rachunkowo- taborowych. Do moich rąk trafiały spisy robione przez obsadę pociągu równo dzień po zakończeniu przez niego kursu. Moim zadaniem było przenieść zawartość spisu do księgi. Tak też czyniłem.

W razie nieszczęścia jakiegoś, albo niech Bóg wybaczy, katastrofy spisu wrzucałem do czerwonej teczki. Zaś z ksiąg głównych wykreślałem zniszczone elementy. Dziś Jaśnie Pan Dyrektor chciał zestawienia zbiorczego owych wagonów.

Aby je sporządzić należało wziąć czysty blankiet papieru kancelaryjnego z logiem Przedsiębiorstwa. Był on starannie limitowany i nie można było sadzić pomyłek. Zacząłem od konstrukcji tabeli. Linie wyrysowałem ołówkiem nieco bardziej miękkim, aby były wyraziście czarne i starannie rozdzielały poszczególne dane. Jednocześnie sprawdziłem, żeby nie był zbyt miękki i nie rozmazywał się podczas czytania. Resztę danych wpisywałem swoim ulubionym ołówkiem o średniej twardości. Pozwalało mi to dopracowywać kształty cyfr tak, aby Jaśnie Pan Dyrektor był zadowolony i jego oko nie kalają wypaczenia kształtu.

Kiedy ukończyłem spis coś przykuło moją uwagę. Mianowicie niezgodność lub co gorsza niedokładność druzyn pociągowych. W każdym feralnym składzie wymieniany był wagon o numerach 153-351. Było to dziwne, bo nigdzie wcześniej nie odnotowano jego zniszczenia.

I tak od początku roku:

1 Katastrofa pod Czarnicami – parochód najechał na kamienie ułożone przez czeladź na szynach.

Wypadł z toru i pociągnął za sobą trzy wagony:

125-555 (1 klasy)

023-991 (1 klasy)

089-047 (3 klasy)

zginęły trzy osoby.

Wagony pozostałem na szynach to 4 sztuki wśród nich 153-351.

2. Wypadek pod Rydwanicami – parochód wypadł z szyn i przewrócił się na bok.

Na jego pogiętej kupie metalu roztrzaskały się wskutek pędu dwa wagony:

033-042 (3 klasy)

041-890 (2 klasy)

Do składu co dziwne (bo to skład lokalny) był doczepiony 153-351

I tak jeszcze kilka katastrof. Zawsze obecny 153-351.

Musiałem dowiedzieć się więcej o tym wagonie. Nigdzie w raportach nie widniał protokół jego uszkodzeń. Zamknąwszy swój gabinet udałem się do archiwum. Prowadził je od zarania dziejów Gerwazy Hohenstein. Niezwykle sumienny archiwista obdarzony wielkimi zdolnościami zapamiętywania szczegółów. Jego właśnie poprosiłem o kilka danych dotyczących katastrof oraz wagonu 153-351. Najpierw doniósł mi katalog techniczny 153-351. Aby nie tracić czasu zagłębiłem się w jego karty. Ów wagon, którego dotyczył, zamówiła Dyrekcja jako jeden pierwszych. Nosił pierwotny numer 000-001. Była to trzyosiowa ostoja na której osadzono pudło z pięcioma przedziałami pierwszej klasy. Do każdego z nich prowadziło osobne wejście. Wagon kursował do roku 1897 kiedy to wypadł z toru i zaczął płonąć. Potłukły się lampy olejowe umieszczone jako oświetlenie wnętrza. Żar był tak straszliwy, że całe pudło uległo unicestwieniu, pozostała tylko ostoja. Ogień nie spowodował wygięcia stali, więc Dyrekcja przeznaczyła ją do odbudowy. Zmieniono całkowicie koncepcję i zbudowano wagon salonowy do inspekcji. Stał on dość długo samotnie, gdyż nikt nie raczył nim inspekcji robić. Skarżono się na zapach spalenizny i dziwne odgłosy dochodzące podczas jazdy. Dyrekcja postanowiła wagon zełomować i uczyniła to w roku 1901.

Skąd więc jego numer w raportach?

Zafrasowałem się. Moje myślenie przerwał Gerwazy przynosząc gazety dotyczące owych katastrof.

Na wierzchu położył opis pożaru 153-351... Skąd wiedział, że o niego poproszę?

Wewnątrz 153-351 zginęła rodzina Dostojewskich. Jechali zugiem na zaślubiny brzemiennej córki w atmosferze skandalu.

„w środku pogorzelniska straż znalazła straszliwie pokurczone od żaru ciało Dominiki Dostojewskiej Żony Jaśnie Pana Dostojewskiego, Jadwigi Dostojewskiej brzemiennej córki Pana Dostojewskiego, ponadto w zgliszczach wieczny odpoczynek znaleźli synowie Agust i Antoni Dostojewscy. Ciało Jaśnie Pana Teodora Dostojewskiego nie odnaleziono. Sądzi się że spłonęło całkowicie”

Odłożyłem gazetę lekko zniesmaczony ilością potwornych szczegółów. Kolejne artykuły dotyczące innych katastrof były podobne. Jedyne, co mnie zainteresowało to jedno z wyrazistych zdjęć. Było na nich widać wagony. Dotyczyło wypadku pod Czarnicami. Autorowi udało się uwiecznić cały pociąg tuż po wypadku. Zacząłem liczyć pudła. Sześć pudeł i ani jednego więcej. A przecież raport mówił o 3 zniszczonych i czterech pozostałych na nasypie. Razem dawało siedem. Zdjęcie było na tyle wyraźne, że rozpoznałem typ wagonów. Po chwili wiedziałem czego brakuje – 153-351. W kilku kolejnych przypadkach było podobnie. Zawsze zagubionym ogniwem był 153-351. Poprosiłem Gerwazego o raporty Komisji Wypadkowych. Czekałem chyba z kwartę zanim je znalazł. Okazało się, że przesłuchano rewidentów i oni bili się w piersi, że 153-351 był przed odjazdem w składzie. Sprawdzono czy pili w trakcie pracy. Wynik był negatywny. A wagon widzieli tylko oni... Pozostali pasażerowie nie potwierdzali jazdy trzyosowego inspekcyjnego pudła.

Udałem się z tymi rewelacjami do Jaśnie Pana Dyrektora. Kamerdyner raczył mnie umówić na jutro. Dziś mój Zwierzchnik był zbyt zajęty. Spisawszy sobie wnioski do raportu i uzupełniwszy tabele złożyłem to wszystko na stole i udałem się do domu. Kiedy wyszedłem na zewnątrz był już późny wieczór. Żadnego powozowego nie znalazłem w pobliżu. Większa grupa dorożek czekała po drugiej stronie Dworca Głównego. Aby tam się dostać należało przejść przez torowisko. Powoli rozglądając się na boki ruszyłem przed siebie. Mijałem głębokie kanały rewizyjne pełne gorącej

parującej szlaki. Śliskie wąskie deski przerzucone nad nimi napawały mnie obawą. Niekiedy mijał mnie potężny parochod próbujący mdłym światłem lamp olejowych rozproszyć brudne opary. Maszyniści widząc Urzędnika Kolejowego wyprężali się w swych budach, myśląc że jakaś inspekcja się szykuje. Uspokajałem ich podniesioną dłonią i szedłem dalej. Grupa torów rozrządzących skończyła się. Konstatowałem że znalazłem się w torach głównych. Wkrótce utwierdził mnie w tym wysoki gzyms peronu czwartego na który z ledwością się wdrapałem. Dalej to już szło łatwo. Mając stabilny grunt pod nogami zszedłem do oficjalnego przejścia. Numerowy zerwał łańcuszek bezpieczeństwa i towarzyszył mi, aż do głównej ulicy przed budynkiem. Podziękowałem mu za tą usługę dwoma fenigami. Przywołałem do siebie powóz i zająłem w nim miejsce. Podałem adres i woźnica ruszył nieśpiesznie. Ułożyłem swe ciało w siedzeniu i przymknąłem oczy. Moja błogość nie trwała długo. Powóz szarpnął dość niespodziewanie i gwałtownie. Potem zamarł. Wściekły na takie niezręczności woźnicy zerwałem się do drzwi, by go zrugać. Nie była to jego wina. W pustej wieczornej ulicy inny powóz zajechał mu drogę. Jego lejcowy wymierzył w mojego malutki pistolet. W wyniku zaciemnienia ledwie to dostrzegłem, ale zaraz poznałem kształty widziane w reklamówkach Johna Mossesa Browninga. Zdumiony i porażony taką niecnością zamarłem. Ktoś wywołał mnie po nazwisku na zewnątrz. Wściekły wyskoczyłem zgrabnie wprost przed niskiego twora w masce. Piszę twora, gdyż nie dało się określić płci. Miałem tylko nadzieję, że stoję przed człowiekiem. Pokurczona sylwetka wsparta była na lasce z bogato rzeźbioną głownią. Przypominała smoka zrywającego się do lotu. W blasku gazowych latarni zimnym niebieskim jarzyły się drogie kamienie wetknięte w oczodoły. Głowę obejmowała zdeformowana dłoń w rękawiczce. Twarz napastnika skryta była za afrykańską potworą z cienkiego drewna. Druga ręka napotkanego trzęsąc się niezręcznie podała mi skrawek papieru. Rozłożyłem go i w nikłym blasku przeczytałem przesłanie. Było krótkie i dość wyraziste: „Zostaw 153-351. Nalegam”

Pokurcz uznawszy, że przyswoiłem wiadomość wsunął się ostrożnie do swego powozu. Czarny koń uderzył zdenerwowany o kamienny bruk kopytami krzesząc iskry. Potem w ciszy zniknął w czeluści ulicy. Stałem jeszcze chwilę na niej starając się ogarnąć to, co zaszło. Poły mego płaszcza przeszedł ziąb, a nad głową zaczęło rechotać strasznie nocne ptaszysko. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że nie było to me ostatnie spotkanie pokurczem. Wróciłem do swej dorożki i tym razem bez przeszkód dotarłem do swojej kamienicy. Zapłaciwszy za kurs podszedłem do drzwi pięciokondygnacyjnego budynku i załomotałem trzy razy kołatką w drzwi. Stróż nocny rozpoznawszy mnie przez otwór inspekcyjny wpuścił mnie do środka. Krętymi schodami udałem się na ostatek piętro do izby pod numerem 19. Wielki klucz wszedł gładko w zamek i dał się obrócić. Gospoia zostawiła nieco strawy na stole i uprzątnęła nieład jaki po sobie zostawiłem rano. Wyczyściła też trzewiki i przyniosła z pralni drugi mundur. Posiliwszy się nieco sięgnąłem po grawerowaną szklanicę. Wlałem doń sporo dzieła Carla Schirdewana. Przeźroczyta ciecz o wyrazistym charakterystycznym smaku ukoїła nieco skołatane nerwy i pozwoliła oddać się objęcia Morfeusza.

Rano zapomniawszy o wydarzeniach zeszłej nocy stawiłem się do Jaśnie Pana Dyrektora. Kiedy o umówionej godzinie wprowadzono mnie przed jego oblicze, ukloniłem się głęboko oddając należyty szacunek. Jaśnie Pan wskazał mi fotel naprzeciw jego biurka i zapytał co mnie sprowadza. Poprosiłem o pozwolenie położenia przed nim raportów z wczorajszego śledztwa. Uzyskawszy zgodę oddałem mu wszystko, co udało mi się ustalić. Jaśnie Pan Dyrektor zagłębił się w lekturę. Ja zaś czekałem. Kiedy doszedł do spornego wagonu o numerze 153-351 zakręcił nerwowo węża. Przeraziłem się, że czymś niestosownym uraziłem Przełożonego. Jaśnie Pan Dyrektor zauważywszy błąd mojego lica uspokoił mnie, wyrażając pochwałę za starannie wykonaną pracę. Jednocześnie, co wydało mi się dziwne, dodał, iż sprawę uważa za zakończoną i nie należy dalej drażnić losów 153-351. Audiencja była skończona. Wstałem i bez słowa opuściłem gabinet. Byłem zdumiony.

Dyrekcja na ogół piętnowała najdrobniejsze uchybienia i dewocje. 153-351 był rysą na dokumentach przewozowych i nie można było tego tak zostawić. Rysą tolerowaną przez Jaśnie Pana Dyrektora. Zbulwersowany i zde gustowany faktem zmuszania mnie do łamania poleceń

przełożonego postanowiłem nie odpuszczać. Głupota zaślepiła mój mózg i popchnęła do tego czynu. Gdybym znał skutki swej decyzji nigdy był jej nie podjął. Niestety nie należałem do osób widzących przyszłość. Udałem się jeszcze raz do Archiwum i poprosiłem dokumenty Komisji badającej pożar 000-001. Gerwazy podał mi teczkę, ostrzegając, że materiały mogą być niemile. Złamałem lakowe pieczęcie. Rozsunąłem zielone sznurki i otworzyłem skórzane okładki. Najpierw w me ręce trafił raport z opisem sedna dochodzenia. Pierwsi świadkowie, którzy dotarli na miejsce katastrofy byli strażakami z lokalnej remizy. Zaczęli oni pompować strumienie wody w gorejące pudło. Żaden z pasażerów pociągu nie raczył wychylić nosa i udzielić pomocy płonącym. A mogli to zrobić bowiem tylko 000-001 wypadł z szyn i przewrócił się na bok.

Po ugaszeniu pożaru pudło rozbito bosakami i zrobiono zdjęcia. Sięgnąłem po nie i zaraz pożałowałem. Spalone ciała w blasku magnezowej lampy wyglądały potwornie. Każde z nich podobnie. Czarna skóra twarzy opinała wystające żółtawe zęby. Dłonie wygięte do wewnątrz zdawały się obejmować niewidoczne poręcze. Wytopiony ludzki tłuszcz tworzył z wodą opalizujące kałuże, w których odbijały się nagie kości z ud. Odwróciłem głowę od tej makabry. Szybko przerzuciłem pozostałe. Z raportu policji dowiedziałem się, że ciała rozpoznano po biżuterii, którą miały na sobie, fragmentach płodu i butów. Najdziwniejsze zdarzenie miało miejsce w przedziale, który zajmował samotnie Jaśnie Pan Dostojewski. Jego ciało spłonęło całkowicie, a dowiedziono tego po tym, iż na metalowej ramie znaleziono łańcuszek z wielkim wisiorkiem z drogiego metalu. Przedstawiał on pięcioramienną gwiazdę z ostrymi końcami. Gwiazda zwrócona była jednym z wierzchołków ku dołowi, po jednym na boki i dwoma do góry. Przez jej środek przechodziły dwa nagie miecze. Przerysowałem kształt wisiora na pergamin i włożyłem do kieszeni. Nie wiem czemu, ale to on mnie zainteresował. Czasami tak bywa, że ślepy los podpowiada, co dalej. Po skończonej pracy udałem się do Kolegium Duchownego po poradę. Jednym z jego Czcigodnych Członków był mój druh Lorenc Gunter. Prowadził studia nad Biblią. Zastałem go w sali z wielkim krzyżem na ścianie i mnóstwem ksiąg. Przeżegnawszy się przerwałem mu studia nad rozłożoną księgą. Nie miał do mnie pretensji ani nie zafrasował się zbytnio. Uścisnął mnie serdecznie i miła atmosfera trwała do momentu, aż wyjaśniłem mu cel przybycia. Wtedy jego twarz stężała i stała się poważna. Ręka trzymająca mój rysunek zaczęła drgać. Padło pytanie skąd to mam. Opowiedziałem przyjacielowi całą historię wagonu 000-001 przemianowanego na 153-351. Spytał mnie wtedy, czy mogę to zostawić. Odrzekłem, że nie i proszę go o pomoc. Zrezygnowany moim głupawym uporem usiał i zaczął prawić co wie. A nie były to miłe wieści.

Znak należał do „Pretorian Urian”. Jednego z najstarszych Stowarzyszeń jawnie godzących w nauki Kościoła. Sądono dotychczas, że jego członków wybito co do nogi. Do czasu, aż pojawiła się sprawa Dostojewskiego. Policja próbowała dostać się do wewnątrz, ale śledczy, którzy tego się podjęli zaginęli, albo trafili do przybytku dla obłąkanych. Nikt nie jest pewien wieści o Tajnym Gronie jak ich czasami nazywano. Wszystko, co dotychczas wiemy to plotki i domysły. Kościół z racji opozycji profilaktycznie wszczął wojnę. Lorenc ostrzegł mnie, że ustalenia dotyczące „Pretorian Urian” mówią o straszliwej grozie. Jest ona większa niż zawarta Necronomiconie - potępionej księdze zła - jednej z najbardziej tajemniczych ksiąg napisanej przez szalonego Araba Abdul al-Hazreda w 730 roku, który jako młody chłopiec przemierzał pustynię w poszukiwaniu ruin Babilonu, a znalazł inne tajemnicze ruiny ze starożytnymi tekstami. Mówiąc mi te rzeczy Lorenc ostrzegał, że sprawa którą próbuję rozwikłać nie należy do łatwych i najlepiej by było, żebym ją zostawił. Najlepiej dla mnie...

Nie posłuchałem starego przyjaciela. Pycha i głupota szeptały mi do ucha. A może już wtedy byłem pod złym wpływem „Pretorian Urian” ? Sam nie wiem.

Wychodząc z katedry trafiłem na rześisty deszcz. Lał się z dużych ołowianych chmur, które zawiły nad miastem. Rynsztoki wypełniły się brudną wodą. Bruk po którym stąpałem był śliski i łatwo było stracić równowagę. Powoli wróciłem do domu i zmęczony zamarłem w fotelu. Nie dane mi było przespać całej nocy. Około północy obudził mnie harmider i łomotanie do bramy. Tupot nóg po schodach pobudził sąsiadów. Ktoś równie gwałtownie dobijał się do mych drzwi. Otworzyłem je zdenerwowany tak późnym i nagłym najściem. Za nimi stał grubszy mężczyzna i jeszcze dwóch innych. Przedstawili się. Ten najbardziej masywny okazał się detektywem lokalnej Policji

Kryminalnej a dwaj pozostali byli z Śledczymi wyższej rangi. Poproszono o ubranie się mojej osoby i podążeniu z przybyłymi. Jadąc dość szybko policyjnym samochodem nie pytałem dlaczego. Me serce ścisnęło się boleśnie, gdy podjechaliliśmy pod Katedrę Kolegium Duchownego. Wyszedłem gwałtownie z pojazdu i pobiegłem do środka. Śledczy towarzyszyli mi za plecami. Znalazłszy się w głównej sali zrozumiałem, że nic już nie da się zrobić. Mój serdeczny przyjaciel nie żył. Jego ciało uniesiono na wysokość trzeciego piętra i przybito głową w dół do drewnianego krzyża. Wcześniej ktoś ostrym cięciem otworzył mu brzuch. Uwolnione wnętrzności zwisały bezwładnie w dół. Miałem nadzieję, że nie cierpiał. Kiedy przyjrzałem się jego twarzy zrozumiałem, że się myliłem. Na podłodze ktoś wyrysował znak z mej kartki. Po środku gwiazdy leżała szara koperta z moim nazwiskiem. Jeden ze śledczych zrobiwszy zdjęcie wyjął ją i otworzył. Podał mi zawartość – bilet na jutrzejszy nocny pociąg. Zapytałem czy mogę go wziąć. Policja nie miała nic przeciwko temu pod warunkiem, że powiem wszystko co ustaliłem do tej pory. Około czwartej nad ranem zwolnili mnie do domu. Detektyw oznajmił, że nie wie jak ktoś mógł unieść Lorenza i przybić go do krzyża. Dla ludzkiej istoty była to rzecz niewykonalna. Tym razem zacząłem mieć spore wątpliwości. Ale potężna złość za śmierć przyjaciela zdusiła je w zarodku. Wieczorem zgodnie z godziną wypisaną na bilecie udałem się na dworzec. Numerowy skontrolowawszy ów, zaprowadził mnie na czwarty ostatni peron. Był on całkowicie wyludniony i stał przy nim pociąg. Blade światła parochodu ledwie przebijały wieczorną mgłę, przemieszaną z brudną parą. Za maszyną były trzy pudła. W pierwszej klasie oświetlony był tylko jeden przedział. Po za nim reszta była pusta. Drugi wagon miał większe wypełnienie. Zza zasuniętych firanek gaworzyły dzieci. Ich wesołe głosy przerywane były żeńskimi komendami, które miały za zadanie utrzymać w ryzach kindersztubę. Niekiedy swoje zdanie wyrażała męska część obsady. Ostatni wagon poznałem od razu. Był niezwykle w swoim wyglądzie. Drewniane ściany dawno nie czyszczone pokryły się zgniłym nalotem. Na szczęście nie zauważyłem perforacji w deskach. Część okiem zabito grubą nieprzepuszczalną tkaniną. Z pozostałych sączyło się zimne bładoniebieskie światło. Nad drugą, środkową osią było wejście do salonowego 153-351. Zatrzymałem się przed nim. Miałem wrażenie, że stoją przed sarkofagiem. Wokół wagonu szedł niezdemontowany podest. W pierwotnej wersji służył jako wejście do przedziałów. Ostrożnie stanąłem na nim. Złapałem za klamkę. Nawet przez rękawiczki poczułem lodowate dotknięcie zaśniedziałego metalu. Konduktor na peronie zdawał się mnie nie zauważać. Byłem pewien, że poza rewidentem nikt nie wie, że salonowy został dołączony do składu. Był tylko na papierowych dokumentach, a nie w świadomości podróżnych i obsługi pociągu. Otworzyłem drzwi i poczułem mocny nieprzyjemny zapach spalenizny. W tym samym momencie obsługa zadęła w gwizdek i parochod uderzył parą w cylindry. Szarpnięcie i umykająca krawędź peronowa nie dawały wyboru. Zamknąłem drzwi za sobą. Wnętrze w jakim się znalazłem przypominało stary śmietnik. Wszystko wokół było zmurszałe i przegniłe. Dawna farba złaziła płatami ze ścian a dziwne niebieskawe świece dymiły straszliwie. Smród spalenizny i czegoś bardziej okropnego był bardzo dotkliwy dla moich zmysłów. Otumaniał i czynił bezwolnym. Lekkie drżenie podłogi świadczyło o tym, że pociąg jest w drodze. Stałbym tak bardzo długo, gdyby nagle, nie wyrósł przede mną przykurcz. Przywitał się usłużnie i przeprosił za warunki w których przyszło mi przebywać. Potem wygłosił tyradę o niepotrzebnym moim zainteresowaniu sprawą tego wagonu. Przerwałem mu i wtrąciłem niezbyt grzecznie uwagę o ofiarach jakie powoduje, moim zdaniem obecność, tego truchła. Stojący przede mną zaśmiał się otwarcie i wyjaśnił, że ofiary są konieczne. Nie mogłem pojąć tak okrutnej logiki i zaprotestowałem. Wtedy przykurcz zdjął maskę. Krzyknąłem z przerażenia. Miałem przed sobą straszliwe okaleczone lico Jaśnie Pana Dostojewskiego. Nagie nadpalone mięśnie drgały w wiekopomnym bólu. Dziury w obu policzkach odsłaniały białe zęby wiszące z poszarpanych dziąseł. Wśród nich ostrożnie operował czarny i pokryty egzemą język. Dostojewski zrzucił resztę szat na ziemię. Nie wierzyłem w to, co widzę. Od góry niczym nieosłonięty szkielet pokryty był szerniałymi płatami mięsa. Narządy wewnętrzne poruszały się na moich oczach. Od nagiej miednicy odchodziły nogi z wytopionymi łydkami. Trzewia utrzymywały się na paskach materiału zadzierzgniętych na kręgach kręgosłupa. Stojący przede mną nie miał prawa żyć. Po chwili doszło do mnie, że oceniam sytuację na

podstawie znanych mi ziemskich prawideł. A monstrum stojące naprzeciw na pewno im urągało. Dostojewski owinał się znowu płaszczem i przywdział maskę. Przeprosił za swój nieobyczajny wybryk i kontynuował wyjaśnianie. Był najpotężniejszym „Pretorianem Urian” i mimo prześladowań, dokonał tego, o czym marzyli inni. Stał się nieśmiertelny w świecie do którego niebawem mnie zaprosi. Jednak wszystko ma swoją cenę. Mimo niezwykłości zdarzeń, są one zależne od czegoś bardzo przyziemnego. Kiedy poznałem przyczynę mimowolnie roześmiałem się. Nawet tak niezwykle akt jak nieśmiertelność zależał od- energii. A że jej całkowita wartość we wszechświecie jest stała, ktoś musiał ją oddać by inny mógł z niej korzystać. Dostojewski rozłożył ręce i zakończył wywód. Byłem zdegustowany. Spytałem jakim prawem zabawia się w Boga, skoro sam jest na jego łasce. Roześmiał się z frazeologii i dość nietrafnego nazewnictwa jakim się posługiwałem. Potem kazał mi podążać za sobą. Szliśmy przez całą długość wagonu. Na jego końcu były masywne drzwi. Wedle wszelkich prawideł prowadziły w pustkę za jadącym pociągami. Przykurcz je otworzył i wciągnął mnie silnym ruchem za nie. Znalazłem się w nieznanym świecie. Potworna groza obrazów, które zarejestrowały moje oczy do dziś napawa moją duszę ogromnym lękiem. Nikt nigdy nie powinien tego doświadczyć. Mimo niewielkiego zasięgu widoczności było to, aż nadto. Chciałem krzyczeć głośno, aby nie zwariować. Na chęciach pozostałem. Poruszaliśmy się wąską ścieżką pośród nagich skał. Na nich poruszało się wiele nieznanych mi stworzeń. Przemieszały na malutkich galaretowatych wypustach. Kierunek nie grał roli. W powietrzu nad nami na olbrzymich błoniastych skrzydłach szybowały smoki. Od czasu do czasu któryś obniżał lot by się nam przyjrzeć. Wtedy to Dostojewski podnosił do góry swoją łaskę i odpędzał go niebieskawym światłem. Ścieżka zakręcała do pałacu położonego na urwisku. Przed samą bramą przykute do skały były dwie wpołyzywe niewiasty. Pokryte robalami ze ścian wiły się w okropnym bólu, które owe im zadawały. Mimo to w dłoniach dzierżyły pochodnie, które oświetlały nam drogę. Wewnątrz budowli było więcej takich lamp. Dostojewski się zmieniał. Kiedy dotarliśmy do zamku szedł wyprostowany i pozbył się odzieży. Nie poznawałem jego ciała. Było wypełnione niestałą substancją o niebieskiej poświacie. Rany zdawały się zagojone. Zaprowadził mnie na wysoko położony balkon z którego rozchodził się widok na okolice. Okolice pełną nagich ciał mężczyzn, kobiet i dzieci, na których zamieszkujące tą krainę stwory żerowały. Zrozumiałem, że jest to świat „Pretorian Urian”, rządony przez nieznaną siłę, którą oni czczą. Ta moc nie pochodziła z naszego świata i była bardzo stara. Myślę, że istniała długo przed nami. Ludzie od dawna próbowali nam zasugerować jej obecność poprzez zapisy w Księgach. A najważniejszą wskazówką była na ta Najświętsza. To co stało za Dostojewskim zaprosiło mnie do ogromnego kamiennego stołu. Były na nim jakieś runy o nieznanym mi znaczeniu oraz trzy kości. Dawny przykurcz wyjaśnił, że to nie on decyduje ile ofiar pochłonie jego żywot, a siła której jest wyznawcą. W określonych odstępach czasu uczestniczy w rytuale gry. Niestety z niewiadomych względów, dziś nie będzie mu to dane. Siła czasami decydowała, że ktoś inny zabawi się w Boga. Tu wskazał na mnie. Zapytałem o intencje i ewentualną odmowę. Jednocześnie gdzieś w głowie zaczął rodzić się plan pozbycia ostatniego „Pretoriana”. Wraz z jego śmiercią zamknęły, by się wrota do tego świata. Patrząc na odbudowane ciało spaleńca zrozumiałem, że nie mogę tego uczynić tutaj. Świat zapewniał mu trwałość żywota. Ale w naszym... Dostojewski wyjaśnił mi, że tych którzy odmówili widziałem z tarasu. Skinąłem głową. Odmowa wobec potęgi mocy i grozy nie miała sensu. Poprosiłem o wyjaśnienie reguł. Monstrum wskazało na pierwszą z leżących kości. Była ona sześciokątna i pokryta tylko trzema symbolami w postaci złotej gwiazdy. Reszta ścian pozostawała pusta. Kościami ciskało się w raz w obrębie stołu. Każdą z trzech po kolei. Wynik wskazywał liczbę ofiar w katastrofie, która niechybnie nastąpi w składzie z wagonem 153-351. Pierwsza kość oznaczała setki, druga dziesiątki a trzecia jedności. Różniły się liczbą ścian, druga i trzecia miała ich dziesięć. Proste i przerażające zarazem. Zapytałem, czy zawsze reguły gry są spełnione, co do wyniku. Odpowiedział, że zawsze, ustalili to starożytni. Usiadłem na krześle i czekałem, co nastąpi. Do sali weszła niewiasta. Jej ciało oblekała przeźroczysta tunika. Mimo skrajnie pięknego lica, przez tunikę można było dostrzec liczne rany w których panoszyło się robactwo. Kobieta podała mi złoty kubek. Dostojewski wskazał na pierwszą kość. Zapytałem z okrutnej ciekawości jak interpretować wynik. Repeta była natychmiastowa. Gwiazda sto, ściana

zero. Roześmiałem się z irracjonalności zdarzeń i zapytałem dlaczego tylko sto. Wyjaśniono, że więcej nie mieści się w pociągu. Okrutnie prosta logika.

Włożyłem pierwszą do złotego naczynia i jałem potrząsać. Ręce pokrył mi zimny pot. Nigdy nie miałem szczęścia w grach losowych. Czasami pycha pozwalała na myśli o byciu Bogiem. Spowiadałem się z nich potem w konfesjonale. Teraz dostąpiłem tej roli. Zamiast grzechotu kości słyszałem szczebiotanie niewinnych dzieciątek w wagonie, głosy kobiet i mężczyzn nieświadomych swego losu w mych rękach. Zamknąłem oczy i odwróciłem kubek do góry dnem kładąc go na stole. Ciepłota niewiasta położyła mi jedną dłoń na ramieniu. Była ona lodowata i pokryta czymś śliskim. Otworzyłem oczy. Drugą ręką uniosła kubek. Kość leżała czystą ścianą do góry. Dostojewski wyraźnie zmieszany zebrał ją ze stołu. Zostały jeszcze dwie. Monstrum wyjaśniło, że początkowo Siła planowała spektakularne zderzenie dwóch pociągów. Teraz wobec moich wyborów, trzeba będzie zmodyfikować scenariusz katastrofy. Byłem przerażony bezdusnością tych słów. Igranie z wartością największą jaką było ludzkie życie. Zamieniane na energię, dla największego z „Pretorian”. Gdzieś w głębi duszy narastała wściekłość. Wsadziłem do naczynia drugą kość. Zacząłem obracać kubkiem. Grzechotała uderzając mnogością ścian o brzegi naczynia. Znow ustawiałem je na stole do góry dnem. Niewiasta chciała położyć mi dłoń na ramieniu, ale uchyliłem się. Przez jej twarz przeszedł grymas. Odśloniła kość. Odetchnąłem i roześmiałem się. Znow pusta ściana celowała w niebo. Dostojewski uderzył pięścią w stół zirytowany okrutnie. Gdzieś z zewnątrz rozszedł się głośny ryk wielu stworów. Monstrum siedzące naprzeciw mnie wyraźnie się opanowało. Czyżby jego „Urian” przywoływał go do porządku?

Pewny siebie wziąłem do ręki ostatnią kości. Tym razem dość szybko położyłem kubek na stole. Dostojewski mamrotał coś o pękniętej szynie. Po odstawieniu naczynia moim oczom kazała się pokryta runem ściana. Mimowolnie jęknąłem. Wynik nie był zerowy jak chciałem. Kość wskazywała jedną jednostkę. Wylosowałem jedno ludzkie istnienie. To poirytowało mojego gospodarza. W sali zerwał się wiatr, który uniósł moje ciało. Byłem przekonany, że dokonam żywota. Trafiłem do długiego tunelu, przez który leciałem objijając się o ściany. Zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby. Każde uderzenie powodowało ból. W końcu pęd ustał i toczyłem się po jakiejś kamiennej strukturze. Zamarłem i ktoś pomagał mi wstać. Znalazłem się na malutkiej stacyjce. Zdziwiony urzędnik podpierający mnie i stawiający na nogi pytał dlaczego spadłem z nieba. Nie chciałem mu tego wyjaśniać. Przeczytawszy nazwę zrozumiałem, że jakimś cudem wylądowałem na trasie pociągu do którego wsiadłem. Wedle busoli miał tu zaraz być. Kazałem go zatrzymać. Urzędnik opuścił ramię semafora. Dla pewności wymachiwaliśmy latarniami na „stój”. Parochod zgrzytając hamulcami zatrzymał się przed strażnikiem. Miał już tylko dwa pudła. Wyjaśniłem mechanikowi powód zatrzymania w postaci pękniętej szyny. Znalaziono ją niecały kilometr od stacji. Zdawszy raport przez telefon poprosiłem o przysłanie powozu. Spełniono moje życzenie i nad ranem znalazłem się w domu. Jaśnie Pan Dyrektor dowiedziawszy się o całej sprawie dał mi dyspensę z pracy na dziś i kazał odpocząć. Zasnąłem snem sprawiedliwego, ale i wygranego. Naruszyłem reguły najważniejszej z gier starożytnych. Obudziwszy się późnym popołudniem posiliłem się i jeszcze raz przemyślałem wszystko, co do tej pory się stało. Śmierć mego przyjaciela też była wynikiem gry czy morderstwa? Sądząc po rytuale raczej tego drugiego. Ile jeszcze ofiar zbierze pycha przykurcza i jego chęć służby Starożytnym? Znow naszła mnie ochota wyeliminowania całości. Wystarczyło dowiedzieć się, gdzie Dyrekcja trzyma truchło 153-351. Nie było to trudne. Stał bocznicy opłacanej przez nieznaną organizację. W związku z tym, iż nie jestem człowiekiem agresywnym, nie miałem przy sobie broni. Na szczęście sama natura podpowiedziała jak to załatwić. Tak jak to się zaczęło, powinno się skończyć. Nocną porą zaszedłem na pustą bocznice. On tam był brudny, obdrapany i jaśniejący niebieską poświatą. Stanąłem przed i zapaliłem dwie olejowe lampy które przytaszczyłem ze sobą. Odnalazłem niezabite tkaniną okno i cisnąłem weń pierwszą z nich. Rozbiła szybę i wpadła do środka salonki. Wnętrze rozświetlił blask oczyszczającego ognia. Obszedłem wagon i podobnie uczyniłem z drugiej strony. Płomienie objęły całość dość szybko. W skwierczącym szale zniknął ostatni łącznik pomiędzy naszym a starożytnym światem. Gdzieś z głębi poskręcanej stali doszedł mnie ryk Dostojewskiego. Umierał w rzeczywistości której hołubił. Nie miał już dawcy energii tak potrzebnej, by pysnić się pogardą dla

praw natury. Kiedy pogorzelnisko dogasało nie było mnie przy nim. Nikt już więcej nie odbudował wagonu. Dopełniło się prawo gry. Jedna ofiara. Nie czułem się mordercą. Nazajutrz oczyściwszy mundur poszedłem do pracy. Po drodze kupiłem lokalną gazetę ciekawy doniesień o pożarze wagonu. Nie było ich. Znalazłem za to artykuł o tytule „Śmierć Maszynisty” Z treści wynikało, że pociąg który zatrzymałem, po naprawieniu szyny, dotarł do celu. Tam maszynista schodząc z parochodu poślizgnął się tak nieszczęśliwie, że uderzył głową o kantówkę schodów. Zmarł zanim przyszła pomoc...

Koniec

Wrocław 19-05-2016